

Wojciech Mucha



KREW *i* ZIEMIA

O ukraińskiej rewolucji

FRONDA

KREW *i* ZIEMIA

[Kup książkę](#)

Wojciech Mucha

KREW *i* **ZIEMIA**

O ukraińskiej rewolucji

FRONDA

[Kup książkę](#)

Okładka
Radosław Krawczyk

Fotografia na okładce
Piotr Apolinarski

Redaktor prowadzący
Bartłomiej Zborski

Redakcja
Ewa Popielarz

Korekta
Katarzyna Szol

Skład i łamanie
TEKST PROJEKT, Łódź

Copyright © by Wojciech Mucha, Warszawa 2014
Copyright © for Fronda PL, Sp. z o.o., Warszawa 2014

ISBN 978-83-64095-58-0

Wydawca
Frona PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. 22 836 54 44, 877 37 35
faks 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo

Pamięci Józefa Mackiewicza

[Kup książkę](#)

Słowo wstępne

Jeszcze raz: nie jesteśmy ukrainofilami.

Ostry zapach zwęglonej gumy, drewna i czegoś tam jeszcze. Właściwie to dlaczego siedzieli na mrozie w tym zapachu spalizny? Plątali się pomiędzy pałatkami: rozmawiali po nocach, nie znając zmęczenia, wódkę pili rzadko, ale wtedy się rozklejali, z zapachem spalizny Majdanu w pamięci będą pewnie umierać. Skuleni czatowali na newsy w spalonym potem budynku związków zawodowych. Przygotowywali relację za relacją, polska opinia publiczna była żądna kolejnych faktów, prognoz itd. Tak zapamiętałem „naszych” na Majdanie – dziennikarzy, społeczników, fotoreporterów. Łatwo było się zakochać w ukraińskim pragnieniu wolności, takim czystym, jakiego Polska nie doświadczyła chyba od sierpnia 1980 roku. Każde polskie pokolenie, jak daleko sięgamy pamięcią w XIX i XX wiek, miało swoją insurekcję. Dopiero dzisiejsze są o nie biedniejsze – nie mają takiego jak rodzice i dziadkowie doświadczenia wolności, bezkompromisowości, tego czystego dotykania czyстого ideału. Może dlatego wielu polskim dziennikarzom, liderom opinii, intelektualistom młodego pokolenia Majdan był potrzebny dla nich samych – by doświadczyli nad Dnieprem



[Kup książkę](#)

tę, co formowało poprzednie pokolenia Polaków nad Wisłą. A może część Polaków tak ma, że nie wyobraża sobie polskiej wolności bez walki o wolność innych? Historia się nie skończyła, nie ma linii demarkacyjnej, która jak skalpelem potrafi ją odciąć od rzeczywistości, dumne „wczoraj” oddzielić od banalnego „dzisiaj”. To współcześni dopisują kartki do historii, choćby nie wiem jak skromnie spuszczały przy tym oczy. Im lepszymi dziełami uzupełniają stare dzieje, tym lepiej. Polacy walczący o niepodległość Stanów Zjednoczonych, Polacy byli w powstaniu węgierskim 1848–1849, Polacy wsparli też krwią dla rannych powstanie węgierskie w 1956 roku, Polacy byli z Litwinami w oblężonym przez Armię Radziecką parlamencie Litwy w styczniu 1991 roku itd. Najczęściej nie krył się za tym interes rozumiany w takim sensie, że jutro na tym „zarobimy”, zresztą zazwyczaj to nie ci, co wspierali rewolucję u sąsiadów, mieli potem wpływ na wykorzystanie jej owoców – gdyby się udało.

Każda wolność w czasie rewolucji w Europie jest trochę jak ta z obrazu Delacroix, która przewodziła paryżanom w 1830 roku. W rewolucji łatwo się zakochać i zapomnieć o sensie barykad, tym razem kijowskich. Dlatego dobrze, że na koniec brzmiały w uszach na Majdanie przedwojenne frazy wielkiego polskiego pisarza politycznego Włodzimierza Bączkowskiego – rozmawialiśmy o tym którejś nocy: „Nie jesteśmy ukrajinofilami. Nie podoba się nam bynajmniej obecny stan rzeczy w społeczeństwie ukraińskim, nie roztkliwiamy się nad historią ukraińską, nie rozrzewniamy się nad obrazem stepu, futoru czy sadu wiśniowego i nie nadstawiamy piersi w obronie abstrakcyjnej sprawiedliwości, z jakiegoś powodu identyfikowanej przez Jeremiaszów ukraińskich ze ślepą Fortuną, obdarzającą jednych niesłusznie (m.in. Polskę) i krzywdzącą drugich (m.in. Ukrainę). Raczej przeciwnie. Potrafilibyśmy w sposób może bardziej jaskrawy, a zapewne od pewnych ugrupowań ukraińskich

bardziej obiektywny, skrytykować sytuację wewnętrzną w społeczeństwie ukraińskim, pracę jego niektórych reprezentantów i instytucji, sens pewnych posunięć”. Czytam to, mając przed oczami dzisiejsze polskie debaty i posądzania o głupią miłość do Ukrainy i nadmierne zaangażowanie. Czytam raz jeszcze, wolniej, i nadziwić się nie mogę, jak trafnie słowa Bączkowskiego oddają dzisiejszy stan rzeczy w relacjach polsko-ukraińskich: żadnych złudzeń, że szybko się poprawi, i jednocześnie pewność, że jeśli w trudnym czasie odwrócimy się od sąsiada, to sami zapłacimy za to rachunki w ramach jakiejś dziejowej ekonomii sprawiedliwości. Co do jednego mamy pewność: że zawsze będziemy sąsiadami, nawet gdy Ukraińcy swojej szansy nie wykorzystają, nawet gdyby w Kijowie powstał antypolski rząd, nawet gdy spróbuje ich jeszcze raz zgniebić Kreml w szatach Trzeciego Imperium Putina – to i tak nikt nie zdoła nas przesadzić jak flancę kapusty w inne miejsce Europy czy świata i stosunek do sprawy ukraińskiej będziemy musieli mieć, i to koniecznie z jakimś planem działania. Bycie na Majdanie w tamte trudne dni było dla Polaków inwestycją w przyszłość, inwestycją niepewną – ale nie można go nazwać ślepym altruizmem. Obok sympatii do Ukraińców było to przekonanie, że oni walczą także o naszą sprawę wolności. To ono prowadziło tylu ludzi do Kijowa w tamtą zimną jesień. Ono i – jak się okazało – szlachetne złudzenie, że gdy tam będziemy z nimi, to może berku-towcy nie będą strzelać do ludzi.

Ktoś wyjeżdża do Warszawy, ktoś wraca jutro do Kijowa. Walizki na kółkach, szukanie mieszkania po nocy lub sen na podłodze w Profspiłkach. Mucha, Pawlak, Pieniążek, Lichnerowicz, Szymczuk, Zalewska, młody Wildstein, Bobołowicz, Jankowski i inni: może w Polsce nie znaleźliby tak łatwo wspólnego języka – ale sprawa insurekcyjna, sprawa wolności w środku Europy potrafi Polaków połączyć jak mało co. W 1977 roku Jacek

Kuroń miał 43 lata, Adam Michnik 31, a Antoni Macierewicz 29. Studenci politologii najczęściej nie mogą uwierzyć, że ci panowie coś razem popełnili. Gdyby nie sprawa wolności Ukraińców, a w istocie gwarancji wolności dla Polski, zapewne nie napisaliby w tym składzie żadnego wspólnego artykułu. A tymczasem mamy jednego tak rzadkiego ptaka podziemnej publicystyki. Czytamy w podziemnym „Głosie”: „Gwarancją suwerenności Polski jest suwerenność narodów dzielących nas od Rosji i polityka godząca w suwerenności tych narodów jest antypolska. Nie ma granicy polsko-rosyjskiej, a każdy, kto ją buduje, musi sobie uświadomić, że robi to za cenę uciemiężenia Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Dla Polski jest to program niesuwerenności, stałego śmiertelnego niebezpieczeństwa, dla narodu rosyjskiego program dyktatury deprawującej społeczeństwo”. Proszę się uszczypnąć – słowa te napisano kilka dekad temu, a brzmią, jakby napisane były wczoraj. Mogliby się pod nimi podpisać koleżanki i koledzy z Majdanu.

Są momenty, które zostają w pamięci jak klatki filmu, z nadzieją, że seans się skończy, schrupiemy dużą paczkę prażonej kukurydzy i będzie po wszystkim. Taki był Majdan. Ciągłe mieliśmy nadzieję, że to sen, że łyż są filmowe i uniesienia, i strach. Ale to wszystko wydarzyło się niedaleko nas i to całkiem niedawno. Początkowo nie pisał o tym w Europie prawie nikt, dopiero pod koniec listopada na miejsce docierały polskie ekipy, potem niemieckie i inne. Ale to polscy dziennikarze byli pierwsi i może swoimi tekstami uratowali rewolucję, gdy jeszcze się tliła, gdy jeszcze łatwo było ją zagasić. Może dzięki temu dzisiaj to Polacy wskoczyli na wysokie miejsce w rankingu zaufania na Ukrainie. Reporterzy przyjeżdżali i wyjeżdżali. Jednak część, a najwięcej spośród Polaków, zostawała na dłużej: wysyłali teksty do redakcji, a potem zostawali na placu pomóc, poprzyjażnić się. Nie chcieli być jak obserwatorzy rewolucji

w ukraińskim akwariu. Dzięki dziennikarzom nasz syty europejski świat, który zapomniał o wojnie, zobaczył obrazki jak z Powstania Warszawskiego czy Wiosny Ludów.

A teraz nakłuwamy delikatnie balon i spuszczaemy z niego cały patos. Książka Wojtka Muchy to świetny tekst o tym, jak było, o przyjaźni, fascynacji, odkrywaniu sąsiadów w kolejnym polskim pokoleniu, o dziennikarzach na Majdanie. Trochę wspomnienie, trochę dokument, trochę pamiętnik. Mucha, jakiego znaliśmy dotąd, to ostry polemista, w debatach o polskich sprawach chlasta piórem tak, że czasem aż krople atramentu lecą. Nie chowa swoich poglądów za delikatnymi aluzjami publicysty. I oto powstała książka, która daje czytelnikowi, a chyba także autorowi, świeże spojrzenie również i na polskie sprawy, bo w jej perspektywie inaczej widać podział na to, co ważne bardziej, a co mniej.

Paweł Kowal

b. wiceminister spraw zagranicznych RP

Warszawa, 11 listopada 2014 r.

Prolog

– Moja matka zawsze mi powtarzała: „Trzeba dawać łapówki, bo potem możesz czegoś naprawdę potrzebować i wtedy nikt ci nie pomoże” – mówi młoda wolontariuszka. – Za wszystko, za rzekomo bezpłatne studia, za prawo jazdy, za prowadzenie lokalu. Wszystkim i wszędzie. Jak więc nie brać łapówek, skoro trzeba je dawać?

– Sprzedawałem lody w takiej małej budce. Pewnego ranka nieopodal zatrzymał się radiowóz – mówi taksówkarz bez licencji, który wiezie nas z Majdanu na drugą stronę rzeki. – I milicja tak stała przez cały dzień. Gdy zwiјаłem się wieczorem, podeszli do mnie i powiedzieli, że policzyli: odwiedziło mnie dziś tyle a tyle osób. Pomnożyli to przez cenę loda, przez liczbę dni w miesiącu i podzielili przez dwa. „Tyle masz nam oddawać” – usłyszałem. W przeciwnym razie sanepid, kontrole skarbowe etc. Jak widzicie, teraz jeżdżę na taksówce – mówi o swoim rozklekotanym daewoo z obowiązkowo przyciemnianymi szybami.

– Czekam na sygnał do ataku. Nie mam skrupułów, idę po tę bandę, tylko rozkaz padnie – słyszę od kilkudziesięcioletniego kozaka pilnującego barykady na Chreszczatyku. Ma zaciętą twarz, sumiaste wąsy i dawno stracił nadzieję na pokojowe

rozwiązanie sytuacji. – Moja matka ciężko chorowała. Trafiła do szpitala, gdzie po podaniu leków spuchły jej nogi. Jedna była taka, jak o, twoje dwie. I wiesz, co mi powiedzieli? Że pomogą, ale za dzień dodatkowego pobytu muszę zapłacić 100 dolarów. I tak przez dwa tygodnie. Co miałem zrobić? – Wściekłe oczy nie potrzebują mojej odpowiedzi. – Czekam na rozkaz do ataku. Gdyby nie komendant, już dawno rzuciłbym się im do gardła – cedzi przez zęby. Kwota 1400 dolarów to równowartość blisko półrocznej tutejszej średniej krajowej.

KREW¹

„(...) jutro o świcie
muszą znaleźć tego chłopca
z otwartą piersią
zamkniętymi oczyma
i cierpkim obolem ojczyzny
pod drętwym językiem”

Zbigniew Herbert, *Nike która się waha*

5 grudnia 2013

– Może Rosjanie chapną sobie Krym – dumał Sasza, gdy jego rozklekotanym furgonem tłukliśmy się w stronę Kijowa. Ukraińiec ma około 30 lat i starego vw transportera. Miał zawieźć nas jedynie do Równego, a wybrał drogę „z żurnalistami na Majdan”. I tak 5 grudnia 2013 r. wyruszyliśmy z nim na ukraińską *terra incognita*. Wiedząc o niej tyle, ile przeciętny Polak – że w związku z Euro 2012 zanotowała „niesamowity skok cywilizacyjny”. O wojnie cywilizacji nikt wtedy jeszcze nie mówił.

Gdy przekraczaliśmy granicę z Ukrainą, dominującą w Europie narracją na temat rodzącego się w Kijowie konfliktu była quasi-bajkowa opowieść o złym tyranie Wiktorze Janukowyczu, uwięzionej księżniczce Julii Tymoszenko i dobrym rycerzu – Witaliju Kliczce. Ten ostatni po uwolnieniu księżniczki i przegonieniu tyrana miał wspólnie ze złotowłosą współrządzić nad Dnieprem, która to rzeka spływać miała mlekiem i miodem.

Prędko okazało się jednak, że była to opowieść fałszywa. Tak jak serwowana przez Kreml i niektórych polskich „usłużnych” jej antyteza, mówiąca o hordach wysuszonych od wódki i nienawiści orków – banderowców. Tych rzekomych pogrobowców

Adolfa Hitlera i Romana Szuchewycza, którzy pod czerwono-czarnymi flagami wbijają nóż w rosyjskie podbrzusze i urządzają pogromy od Zakarpacia do Donbasu, kontynuując zbrodnicze dzieło swych dziadów z UPA. Było jeszcze inaczej.



Gdy przemarznięci do kości telepaliliśmy się na Ukrainę, Kijów wylegał na ulice dopiero od kilku dni. Ciąg wydarzeń rozpoczęła pacyfikacja studentów protestujących na Majdanie przeciwko niepodpisaniu przez prezydenta Wiktora Janukowycza umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Buciory rozszałałego Berkutu na bruku placu Niepodległości zadeptały prozachodnie aspiracje Ukrainy. Tego, że wyprowadzi to na ulice setki tysięcy ludzi, a serce stolicy zamieni w „kozacki kosz”, nie spodziewał się chyba nikt. Wezwania polityków opozycji do podjęcia protestu trafiły jednak na podatny grunt – w grudniu 2013 r. 71% Ukraińców było przekonanych, że sprawy w kraju idą w złym kierunku². Dnia 1 grudnia brutalnie rozbito wiec pod administracją prezydenta, co jeszcze bardziej zmobilizowało protestujących.

Praktycznie natychmiast nad Dniepr wyruszyły delegacje polityków z Zachodu, a wraz z nimi pierwsze pomruki „głębokiego zaniepokojenia” możliwych starej Europy. Taka była wówczas mądrość etapu. Jednak tylko nieliczni, jak Sasza, mieli świadomość, że oto rozpoczyna się największy kryzys polityczny w XXI-wiecznej Europie. Nasz kierowca już na samym początku dostrzegał więcej niż tęgie głowy z europejskich *think tanków*.

Sasza był przekonany, że „wydarzenia kijowskie” nie skończą się ani prędko, ani bezboleśnie. Ten przedstawiciel ostatniego pokolenia urodzonego na sowieckiej Ukrainie zdążył już zobaczyć różnicę między Europą Zachodnią a swoją ojczyzną. Znał

też dobrze ukraińską *Realpolitik* i metody, jakimi posługuje się władza. – Rosja dokręci śrubę – mówił, gapiąc się zza kierownicy w śnieżną noc. – Kliczko jest za słabym politykiem, a nie ma innego lidera, który mógłby zająć miejsce Janukowycza. „Januk” nie popuści, podobnie Putin.

Sunęliśmy przez ciemną i zaśnieżoną drogę, o której można by powiedzieć wszystko, poza tym, że jeszcze przed chwilą łączyła miasta i kraje organizujące mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Na Majdan mieliśmy kilkaset kilometrów. Było to jednak, i wciąż jest, dużo mniej niż odległość z Kijowa do zjednoczonej Europy.



Kijów powitał nas mrozem i gwarem targowiska przy stacji metra Akademmisteczko. Dla kogoś, kto, jak ja, nigdy wcześniej nie był na Ukrainie, to świat znany z korespondencji prasowych i reportaży, które w Polsce zazwyczaj skupiają się na ukraińskiej korupcji i przestępczości. Za dwie hrywny (wówczas 80 gr) przejeżdżamy metrem przez całe miasto, do dzielnicy rządowej. Cisza, mróz i niepokój. Od tygodnia rządowy kwartał zdominowany jest przez siły milicji, wojska wewnętrznego i specjednostki ukraińskiego MSW – Berkut. Zdezorientowany wzrok mundurowych, gdy pokazując legitymacje prasowe, pytamy: „Którędy na Majdan?”.

Grupki „tituszek” plątają się bez celu między kordonami funkcjonariuszy. Wtedy nie mieliśmy jeszcze większego pojęcia, kim są „tituszki” – opłacani przez władzę prowokatorzy i chuligani o wyglądzie i zachowaniu przeciętnego polskiego dresiarza. Nieświadomi zagrożenia, niczym dwa lekkoduchy, schodzimy w stronę Majdanu, wzdłuż parku Maryjskiego, przyszłego miejsca masakry kilkudziesięciu osób. No dobrze, może co nieco już

przeczuwaliśmy. Konrad miał w końcu doświadczenie z konspiracji, kiedy w latach 80. jako członek Niezależnego Zrzeszenia Studentów wielokrotnie miał okazję pojawiać się w miejscach, w których być nie powinien.

– Kurwa, mówię ci, coś tu nie gra – wtedy jeszcze śmialiśmy się pod nosem. I dalej schodzimy, wzdłuż budynków Rady Najwyższej i monumentalnej Rady Ministrów. Ten dziesięciopiętrowy gmach z kamienia i betonu z wcinającym się w półokrągłą fasadę podwórzem jest opustoszały, pilnuje go zaledwie kilku znudzonych mundurowych i jeden mikrobus na przyciemnianych szybach.

Tuż po wzniesieniu budynku, w 1936 r., mieściła się tu siedziba NKWD, potem po korytarzach płatali się komisarze ludowi, a po II wojnie światowej ulokowano tu Radę Ministrów. Tak zostało do dziś. Jońskie i doryckie kolumny i pilastry pną się po fasadzie na 50 metrów w górę. A w dole? Plotki mówią, że gmach jest połączony podziemnymi korytarzami zarówno z Radą Najwyższą, jak i z Administracją Prezydenta. Jeśli to prawda, niebawem te przejścia mogą się przydać tutejszym lokatorom.

Idziemy w dół ulicą Mychajły Hruszewskiego. Przez kolejne blokady, pod stadion Dynama Kijów. Wszędzie witani przez mundurowych tym samym zdziwionym spojrzeniem. Odwzajemniamy je, a jakże.

Przez cały czas kijowskiej rewolucji przy placu przed stadionem wielokrotnego mistrza Ukrainy stacjonowały Berkut i wojska wewnętrzne. To za ich ostatni kordon wpadną już niedługo rzucane przez Ukraińców koktajle Mołotowa, to tam wybuchną granaty hukowe i gaz łzawiący. Stamtąd padną strzały, które 22 stycznia 2014 r. położą trupem pierwszą ofiarę – Ormianina Serhija Nihojana, aktywistę Majdanu. To tam tortury nie wzruszą Mychajły Hawryluka³, którego oprawcy z Berkutu rozbiorą do naga i będą chcieli wybić mu dumę z kozackiego czuba. Na

razie jest jednak 6 grudnia i zachowanie mundurowych ma na celu demonstrację siły. Obserwujemy kolejne kordony postawionych na baczność rezerwistów wojsk wewnętrznych, kolejne grupy znudzonych, oczekujących brutalnej rozrywki berkutowców.

Przez kolejne trzy miesiące nie miałem szans, by powtórzyć tę drogę. Ta część dzielnicy rządowej została zamieniona w państwo w państwie. Zanim na ulicy Hruszewskiego zapłonęły opony, stanęła potrójna barykada i padły pierwsze ofiary snajperów, minęły długie tygodnie. Milczący kordon wewnętrzniaków, odcinający rządowe budynki od świata, stał się elementem krajobrazu. Zupełnie jak pomnik legendarnego trenera Dynamy, Walerego Łobanowskiego, który spoglądał na wszystko z ławeczki ustawionej na cokole przed bramą stadionu. Przeszliśmy tamtego wieczoru za ostatni kordon, przez „strefę niszczą”, w dół, do placu Europejskiego. A potem w lewo, aleją Chreszczatyk, na Majdan.



Upstrzone symboliką narodową barykady odcinają trzypasmowy Chreszczatyk od Majdanu. Spowity dymem plac gra tysiącem świateł i dźwięków. Płynąca ze sceny muzyka, miarowe uderzenia w buchające kotły i wznoszone co minutę okrzyki: „Sława Ukrainie! – Herojom sława”, „Sława nacji! Śmierć wrogom!”, „Ukraina ponad wszystko!”. Mam opory, znam wiele historii, w których te okrzyki były ostatnimi słowami, jakie przyszło słyszeć moim rodakom.

Państwo w mieście. Z własną infrastrukturą, ochroną, strefami dostępu i poziomami. Swoją organizacją i rozmachem budzi szacunek, szok i niedowierzanie. „W Polsce to by było niemożliwe” – tę frazę słyszałem od rodaków w kolejnych miesiącach

wielokrotnie. Podobnie jak budzące uśmiech politowania nawoływania do „zrobienia Majdanu w Polsce”. Najlepiej na placu Konstytucji w Warszawie lub krakowskim placu Inwalidów. I to natychmiast.

Pamiętam doskonale moment przejścia przez pierwszą barykadę i punkt kontrolny, gdzie osiłek w katanie z niemieckiego demobilu na wdech wyrywkowo sprawdzał trzeźwość. Od Lackiej Bramy z Archaniołem Michałem do kolumny z Brzeginią. Plac Niepodległości, Niezależności – Majdan.

Życie na tym wielkim, poprzecinanym szerokimi ulicami placu dosłownie i w przenośni toczy się na różnych poziomach. Na najniższym, w obskurnym przejściu podziemnym, przy muzyce ulicznych graków i obojętności pasażerów metra, płynie strumieniami zakazany na powierzchni alkohol. Złotozęby starzec, ku ucieście chłopaka w masce organizacji hakerskiej Anonymous, gra na akordeonie Kiev ludowe piosenki. Tuż obok ktoś wciska bukiet kwiatów wyperhydrolowanej wybrance. Sprzedaje się miniaturowe Leninki – posążki wodza rewolucji – matrioszki i pamiątki z emblematami Związku Sowieckiego czy Unii Europejskiej. Te pierwsze suweniry już za chwilę znikną na zapleczach. To tu krzyżują się drogi klientów pobliskiego centrum handlowego, gdzie jeansy Levi’s kosztują tyle, co większa część pensji ukraińskiego robotnika, z drogami odzianych w kufajki przybyszów z zachodniej Ukrainy. Tych wszystkich, których z domu na Majdan wygnały bieda, zrzedliwe żony, pęd za przysgodą i narastający z każdym dniem gniewny patriotyzm.

Wtedy, 6 grudnia, na poziomie środkowym, na chodniku, ulicy, przed sceną, między pomnikiem Archanioła Michała a hotelem Ukraina, pod wielkim, wynajętym za nie wiadomo czyje pieniądze ledowym ekranem, tysiące młodych i starych słucha muzyki, tańczy, śpiewa, wyznaje sobie miłość i je zafundowane przez nie wiadomo kogo posiłki.

Morze ukraińskich i unijnych flag, podniosłość wymieszana ze zmęczeniem władzą. Ludzi doprowadzono do takiego stanu, że zaczęli krzyczeć. Krzyczeć zarówno: „Sława Ukrainie”, jak i: „Bando, precz!”. Pozostali, co widać było choćby w smutnym jak trumna od środka metrze, nie mieli na to ochoty. Dla większości osób na całym świecie „stabilizacja na niskim poziomie” i substytuty luksusu są wystarczającym powodem do niewychodzenia na ulicę. Ukraina nie jest wyjątkiem. Kurs metrem kosztuje w Kijowie 2 hrywny (80 groszy), podróbki levisów są na targowisku dostępne dla każdego. Są McDonald’s i tanie marlboro, jeżdżą cudze maserati i tanie taksówki.

A jednak na początku grudnia 2013 r. część Ukraińców wyszła na ulicę, wielu nawet wsiadło w busiki marszrutki, tanią kolejkę i luksusowe samochody, by ze wszystkich stron kraju przyjechać na Majdan⁴. Coś się stało. Władza przekroczyła Rubikon, „przebiegła pałę” – jak mówili sami Ukraińcy.

– Póki Janukowycz na tronie, my na Majdanie – mówi pierwszy spytany o zdanie Ukrainiec.

– Polaki? Bardzo miło – kobieta w średnim wieku.

– My dobrzy ludzie, tu nikt nikomu nic nie robi – rozdająca ulotki dziewczyna z emblematami nacjonalistycznej partii Swoboda na kurtce. Choć jeszcze tego nie wiedzieliśmy, przywitała nas rewolucja.

Flagi Swobody powiewają obok flag Ukrainy i Unii Europejskiej. „Tarnopol”, „Rawa Ruska” – z trudem odczytuję wypisane cyrylicą nazwy miejscowości. „Europejska Ukraina” – wielki banner z takim napisem to tło sceny, na której odbywają się koncerty. „Stop politycznym represjom” – domagają się autorzy kolejnego transparentu. Nie wiedzą, że te represje dopiero się rozpoczną. Przez kolejne miesiące scenografia placu zmienia się wielokrotnie, podobnie jak jego społeczny przekrój. Z początkiem grudnia byli tu przeważnie rozśpiewani rówieśnicy

naszego kierowcy Saszy. Ostatnie pokolenie skażone Związkiem Sowieckim, ludzie o europejskich aspiracjach i wzrastającym z dnia na dzień poczuciu narodowej tożsamości.

Ale pośród dziewcząt o zarumienionych mrozem licach i ich wypomadowanych partnerów w puchowych kurtkach, którzy stanowili większość tłumu na placu, już wtedy dawało się zauważyć bojowców. Przybyszów ze steampunkowego świata, ludzi żywcem wyjętych z planu zdjęciowego do *Ucieczki z Nowego Jorku* albo *Wodnego świata*. No bo jak inaczej opisać oddziały mężczyzn ubranych w futbolowe ochraniacze, hokejowe kaski i przerobione na kominiarki zimowe czapki, którzy zza drewnianych tarcz patrolują wzrokiem plac, wypatrując zagrożenia? Uzbrojeni w plastikowy różaniec i owinięte taśmą izolacyjną nogi od stołów, naiwnie trenujący obronę przed zwartymi jednostkami bojownicy. Armia, jakiej nie widział żaden współczesny konflikt. To oni mieli w najbliższym czasie przejąć na siebie ciężar obowiązku obrony placu Niepodległości. I niepodległości w ogóle.



Wchodzimy na trzeci poziom. Dom Związków Zawodowych „Profspiłki”. Nim zostanie spalony przez „nieznanych sprawców” i pójdzie z dymem, zabierając do dziś nieustaloną liczbę istnień, będzie siedzibą Sztabu Sprzeciwu Narodowego. Przylegający do Majdanu komunistyczny gmach, jak wiele innych budynków, został przejęty przez rewolucję w pierwszych dniach protestu. Parter – punkt apteczny, kuchnia. Chorzy mijają głodnych, bezdomni – wściekłych.

– *Oberežno!* – Ktoś prawie wywraca przeznaczoną dla ludzi na mroźnym placu tacę pełną wrzących herbat. Potrójna kontrola dokumentów: – Żurnaliści, *pressa*, przechodzić. – *Oberežno!* – na

plac wędrują gorące posiłki. Zabłocone schody, nieustający kaszel, przekleństwa, wieczna „Sława Ukrainie!”. Pierwsze piętro – centrum prasowe. Drugie piętro – siedziba Prawego Sektora, organizacji, o której na początku grudnia nie wiemy nic⁵. Wyżej już tylko szpital i noclegownie. W Profspiłkach działała też z jakichś powodów część administracyjna, urzędniczki miały się więc na schodach z kolejnymi wyruszającymi na obchód sotniami Samoobrony.

– *Doroha! Doroha! Oberežno!!!* – Krzyk i stukot pałek o tarcze nie uznaje sprzeciwu, a przebrana w barwy UPA, Ukrainy i Unii Europejskiej lekkozbrojna sotnia wybiega ze swojej siedziby w niewiadomym kierunku i celu.

Centrum prasowe na pierwszym piętrze Profspiłek było przez długie tygodnie obowiązkowym punktem na mapie każdego przybywającego do Kijowa polityka i dziennikarza. Duszne połączenie noclegowni z newsroomem, w którym języki mieszały się jak pod wieżą Babel. Tu w blasku fleszy i kamer można było się oburzyć, wyrazić głębokie zaniepokojenie sytuacją i zapewnić o „wszelkich możliwych formach pomocy” dla walczących i ginących tuż za rogiem. Czasami odnosiło się wrażenie, że Ukrainę właśnie potajemnie przyjęto do NATO, bo kolejne buńczuczne obietnice przybyszów z Zachodu brzmiały dokładnie jak słynny piąty artykuł Traktatu Północnoatlantyckiego⁶. Co ciekawe, choć nikt nie mówi głośno o zagrożeniu zewnętrznym, wszyscy z niepokojem patrzą na Moskwę, skąd dobiega jednak tylko mroźne milczenie. Wtedy te europejskie zapowiedzi trafiały na grunt żyzny jak ukraiński czarnoziem.

– Jesteśmy tu, by być świadkami, by pokazać naszą solidarność – mówi mi Jerzy Buzek tuż przed wyjściem na Majdan, do tłumy. W kolejnym zdaniu przyznaje jednak, że wszystko jest w rękach Ukraińców, a UE w sumie nie może za wiele, prócz kuszenia wspomnianym pakietem pomocowym.

Uznawany za lidera protestów Witalij Kliczko, pytany o planowaną na niedzielę, 8 grudnia, wielką demonstrację, odpowiada: – Będzie pokojowo. Od początku jesteśmy pokojowi, tak też będzie jutro.

Kliczko stanowczo wyraża się też na temat ultimatum, jakie władze postawiły okupującym rządowe gmachy protestującym. Mają je oni opuścić.

– To są budynki obywateli, którzy zajęli je pokojowo i zgodnie ze swoją wolą, i tam pozostaną – mówi. Pytany o delegacje, które raz za razem przetaczają się przez majdańską scenę i centrum prasowe, odpowiada kurtuazyjnie: – To plac Europejski, jest tu reprezentacja Parlamentu Europejskiego i wszyscy ludzie, którzy tu przyszli, są tu dlatego, że chcą żyć według standardów europejskich – dodaje, wyrażając w tych słowach to, co czują tu wszyscy. Bo przeciętni ludzie, jak taksówkarz w wysłuchonym daewoo, myślą prosto.

– To nie jest protest proeuropejski. To jest protest przeciwko bandyckiej władzy, która opanowała wszystkie poziomy życia publicznego. To protest przeciwko rozwarstwieniu społecznemu, które jest tu olbrzymie – mówi nam kijowski taryfiarz, który za 12-kilometrowy kurs inkasuje równowartość 18 zł.

Wtedy, na początku grudnia, ludzie od prawa do lewa upatrywali w Unii Europejskiej krynicy praw, prawd i swobód. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na stopień korupcji i zniewolenia, a przede wszystkim dysproporcje społeczne w kraju, gdzie cztery piąte całego majątku należy do 0,00003% społeczeństwa⁷. Setki tysięcy ludzi przyjmowało więc symbole UE, łącząc je z flagą państwową, kulturowymi i religijnymi symbolami lub emblematami nacjonalistów. We flagę z gwiazdami wpisywano naprzemiennie: ukraiński tryzub, wizerunki Jezusa Chrystusa, Michała Archanioła, Tarasa Szewczenki czy „wilczy hak”, na Zachodzie jednoznacznie kojarzony z neonazizmem

znak, który w nacjonalizmie ukraińskim symbolizuje rzekomo „ideę nacji”. Te wszystkie symbole i stojący za nimi ludzie rozpoczynali właśnie walkę z dziwną hybrydą: oligarchiczno-postkomunistycznym reżimem, który przez ostatnie lata doprowadził kraj na krawędź przepaści. Ale jednocześnie w sercu Kijowa oni wszyscy rozpoczynali równorzędną walkę o kształt nowego państwa ukraińskiego. Walkę między sobą.

Kijów, Majdan

9 grudnia 2013

Majdan oblężony. Wczoraj, ku ucieście setek zgromadzonych, najczęściej młodych i niepamiętających Związku Sowieckiego ludzi, spadł z cokołu Lenin.

– To najpiękniejszy dzień w moim życiu – powiedziała mi nie-naganną angielszczyzną prześliczna Ukrainka, którą spotkałem w tłumie młodzieży, ustawionej w kolejce do łupania młotem obalonego na kijowski bruk łba wodza rewolucji.

Dzisiaj z nieba spadł śnieg. Wzrosła za to temperatura. Przejście podziemne i stacja metra pod placem, które jeszcze wczoraj tętniły życiem, teraz świecą pustkami. Pozostali tu jedynie bezdomni i kilkudziesięciu uzbrojonych po zęby demonstrantów. Kominiarki, długie kije, łańcuchy. Pilnują, na wypadek gdyby szturm przyszedł z peronu. Milicjanci, których jest tu kilkunastu, raczej nie mieliby szans. Na razie toczą bezproduktywny dialog z weteranami z Afganistanu, którzy ubrani w swoje charakterystyczne kamizelki i tu przejęli kontrolę. Wiekowi wojskowi są darzeni szacunkiem. Sami o sobie mówią, że przygotowują się do ewentualnej walki jako pierwsza linia. Metro kursuje z pominięciem stacji na Majdanie. Schodzimy z bojowcami

skontrolować peron tej jednej z najgłębszych kolei podziemnych na świecie. Cisza i spokój, jak u Hitchcocka.

Po dłuższej chwili nadjeżdża pociąg i zaraz ruchomymi schodami na powierzchnię wydostają się dziesiątki pasażerów. Ktoś zadecydował, że nic tak nie rozbije barykad w przejściu podziemnym, jak masa niczego nieświadomych ludzi, którzy chcą przejść do centrum miasta. Fala jest nie do powstrzymania, bo co trzy minuty pojawia się kolejny pociąg z kolejnymi kijowianami, najwyraźniej zadowolonymi, że nie muszą już pomijać tej stacji. Babuszki z siatkami i mężczyźni w futrzanych czapach niczym morska fala zalewają zdezorientowanych bojowców w kominiarkach. Kije i łańcuchy nikną w zalewie siatek sklepowych, toreb i torebek. Wynik – 1:0 dla reżimu.

Tymczasem w okolicach placu widać milicję. Ustawiono kolejny kordon pod stadionem Dynama. „Powstańcy”, bo tak o sobie mówią, budują potężne barykady. Nie ma tu już przypadkowych ludzi. I choć plotki głoszą, że Janukowycz jest gotów na rozmowy okrągłego stołu, inne mówią, że: a) Majdan jest nielegalny, b) odcięte zostaną dostawy żywności, c) szykuje się rozwiązanie siłowe. Podobno pojawiają się służby specjalne, a funkcjonariusze z bronią maszynową rzekomo weszli właśnie do jednego z okupowanych budynków. Szerzą się pogłoski, że odetną prąd w całym kwartale. Najprawdopodobniej będą odbijać budynek po budynku. Mnogo plotek o rosyjskim specnazie i funkcjonariuszach FSB. I nic się nie wydarza.

Dziesiątki niesprawdzonych informacji, jakie pojawiały się każdego dnia i nocy, mogły przyprowadzić o zawrót głowy. Już od samego początku protestów widzieliśmy, że uczestniczymy w zaawansowanej wojnie informacyjnej. Na telefony protestujących na Majdanie (ale i nasze, polskie) przychodziły

SMS-y, w których starano się zdyskredytować głównych autorów protestu. „My stoimy na mrozie, a Kliczko siedzi w ciepłym domu” – ubolewał nieznany „życzliwy”.

Plotek było więcej i niestety niektóre chętnie podchwytywały zachodnie (w tym nadwiślańskie) media. Tak stało się m.in. z powtarzaną w masowym obiegu informacją, że w obliczu wzmagających się zamieszek i idącego za tym zagrożenia życia sotnicy wypisują sobie grupę krwi pod lewą pachą. Ten z pozoru obojętny ideologicznie zabieg ma drugie dno. Pod lewą pachą tatuowali sobie grupę krwi żołnierze jednostek niemieckiego SS. Weryfikowałem tę informację u wielu osób, w tym w kierownictwie Majdanu i Prawym Sektorze. Nikt o tym nie słyszał.

Kijów, Majdan

10 grudnia 2013

Jeśli ja jestem kompletnie wykończony, to nawet nie chcę sobie wyobrażać, co czują ci przemarznięci i przemoczeni majdanowcy, od dwóch tygodni nieprzerwanie trwający na placu. Mróz przeszywa na wskroś. Kończyny nam sinieją, jakby ktoś je obił kijem owiniętym w szmatę. Dziś do 4 rano byłem na warcie ze zwolennikami Swobody. Ostatecznie opuścili barykadę w obrębie dzielnicy rządowej i została ona zlikwidowana przez ludzi Janukowycza. Zanim to się stało, przeszliśmy wzdłuż i wszerz południową część wyludnionego kwartału (ten na północ od Instytuckiej kontroluje władza). Co kilometr ustawiały się tu obozy zbudowane przez zwolenników partii opozycyjnych – UDAR-u (której liderem jest Witalij Kliczko) i Swobody, w których stacjonuje w sumie kilkaset osób. Dziwaczne to budowle – osady wciśnięte między ciemne ulice i luksusowe budynki.

Przed wybuchem rewolucji kursowały tędy wte i wewte limuzyny najwyższych notabli. Teraz ulica Luterkańska, którą kolejny raz tej nocy wspinamy się po oblodzonym asfalcie, jest wyłączona z ruchu, a na parkingach próżno szukać samochodów.

Jest ciemno, z bram wychylają się wewnętrzniacy, w podwórkach widać pojazdy opancerzone.

Obozowisko Swobody, partii Ołeha Tiahnyboka, to nic innego jak zwyczajna barykada, ustawiona w poprzek Luteralskiej. Kosz Kliczki i jego ludzi to już prawdziwa forteca, na rogu ulic Szelkowicznej i Akademika Bohomolca, w głębi dzielnicy. Tu nawet deski wyglądają jak zakupione przed chwilą w składzie materiałów budowlanych. Buchają wielkie kotły z zupą, leje się kawa i herbata. Kliczko nie wychodzi z namiotu. Radzi niczym Iwan Sirko, ataman koszowy, gdy wraz z Siczą Zaporoską dumał nad odpowiedzią na ultimatum sułtana osmańskiego Mehmeda IV, choć zapewne nie jest mu do śmiechu, jak kozakom na słynnym obrazie Ilii Riepina⁸.

Ze wzgórza, na którym stoimy, doskonale widać drogę, skąd może nadejść atak. Na razie jest tu jedynie kilkunastu znudzonych funkcjonariuszy. Tylu przynajmniej daje się dostrzec w ciemnych zaułkach. Posileni i napici wracamy do Swobody.

Pada gęsty śnieg. „Milicja z *narodom*, milicja z *narodom*” – krzyczy zachrypnięty mężczyzna w pelerynie. „Sierp i młot – śmierć i głód” – czytam na transparencie trzymanym przez wiekowego duchownego. Najpewniej prawosławnego lub unickiego, sądząc po czarnym, przemoczonym kłobuku, który kontrastuje z siwą brodą. Pop powiewa małą chorągiewką w barwach UPA. „Sława nacji, śmierć wrogom” – powtarza z tłumem, błogosławiąc zarówno protestujących, jak i skryte za ścianą z tarcz oddziały MSW. Bóg jeden wie, czy jego słowa docierają także do rozproszonego i znudzonego Berkutu, który jak zwykle płacze się za karnymi kadetami, czekając na sygnał do pacyfikacji.

W pewnym momencie dochodzi do starcia, w wyniku którego dwóch żołnierzy wojsk wewnętrznych wyciągnięto z kordonu i powleczono w dół ulicy. Uratowało ich to, że w przeciwieństwie

do znienawidzonego Berkutu są darzeni, jeśli nie względną sympatią, to przynajmniej obojętnością. Wszyscy wiedzą, że to w dużej mierze poborowi i kadeci ze szkół wojskowych. Gdy rozbijano barykady w dzielnicy rządowej, w tym samym czasie na Majdanie wewnętrzniaki grzały się przy jednym kotle z protestującymi. Palili papierosy i pili herbatę. Prosiłi jednak, by w żadnym wypadku nie robić im wspólnych zdjęć.

Gdyby zamiast młodych kadetów w ręce zwolenników Swobody wpadli berkutowcy – nie byłoby litości. Lincz na miejscu. Tymczasem kadetów wepchnięto na jedno z podwórek, za szpaler ich towarzyszy.

Nacjonałisci są doskonale zorganizowani i uzbrojeni, z czym specjalnie się nie kryją. Przy tym pozostają niezwykle karni. Na rozkaz opuszczenia rozwalonej barykady i powrotu na Majdan wymaszerowali bez słowa, pomimo trwającej ich nienawiści i narastającej adrenaliny. Wiedzieli jednak, że ewentualne zamieszki to oczywisty pretekst do szturm, że znów padną ofiary, że znów z położonej na wzniesieniu dzielnicy rządowej popłyną na Majdan strumienie krwi. Dlatego też, gdy wreszcie Berkut otrzymał sygnał do rozbiórki barykady, nie bronili jej. „Bronić Majdanu!” – powtarzali, gdy rozmawiałem z nimi, schodząc w dół ulicą Luterzańską.

Na barykadzie Swobody widnieją emblematy UPA, SS-Galizien, OUN i inne. Nie sposób temu zaprzeczyć, ten element tożsamości wśród swobodowców wydaje się dość powszechny. Ale prawdą jest, że na widok kamizelki z napisem „Gazeta Polska”, którą tej nocy założyłem po raz pierwszy (jak gdyby posiadała jakąś klasę obronną), krzyczeli: „Jeszcze Polska nie zginęła, Ukraina *toż* żywa!”.

A Berkut? Triumfalnie podnosił pały, gdy miała paść barykada. Wydawali okrzyki jak gromada Tolkienowskich orków uruk-hai. Sądzę, że werbują ich z jakiejś patologii i ćwierćinteligencji.



Berkut triumfuje. Obalenie barykady w dzielnicy rządowej, Kijów, 10 grudnia 2013. Fot. Konrad Falecki/Gazeta Polska

Zwracał mi na to uwagę jeden z księży z polskiej misji w Kijowie, który przygotowywał któregoś z nich do małżeństwa.

– To dla nich możliwość wyrwania się ze swoich zapadłych dziur. Tu dostają mieszkanie i jako takie wynagrodzenie – opowiadał.

Do czasu rewolucji Berkut miał zadania porównywalne do rosyjskiego OMON-u, którego zresztą jest pogrobowcem. Zabezpieczanie imprez masowych o podwyższonym ryzyku, walka z chuligaństwem stadionowym etc. O tym, że szkolono ich także w Polsce, przyznał się Pawłowi Bobołowiczowi jeden z funkcjonariuszy.

– Chciał, żeby zrobić mu zdjęcie, podpisać, że jest Mykoła i że pozdrawia policjantów z Poznania, pozdrawia pułkownika Leszka – relacjonował korespondent Radia Wnet. I choć polska

policja raczej nie chce się tym chwalić, przyznaje, że z ukraińskim MSW współpracowała⁹.

Ale od początku grudnia Berkut to już wyłącznie symbol znienawidzonej, zinstytucjonalizowanej przemocy. Nic dziwnego, że powszechnie darzony jest największą pogardą. Cieszą się z tego jedynie funkcjonariusze DAI – łapownicy z ukraińskiej drogówki, przy których film *Drogówka* Wojciecha Smarzowskiego jest bajką dla grzecznych dzieci. Oni wraz ze wzrostem aktywności Berkutu w tym rankingu niepopularności spadli na drugie miejsce.



Gdy to wszystko obserwuję, gdzieś w oddali jawi mi się wizja usługanych tragarzy, którzy lada moment przyniosą tu okrągły stół. Widzę jakąś willę MSW, taką tutejszą Magdalenkę, gdzie za chwilę przy wódce i słoninie „konstruktywna opozycja” porozumie się z „reformatorami” i zaskorupi tę otwartą, ropiejącą ranę, jaką jest teraz Ukraina. To nie tylko moje zdanie. Zgodni co do tego są wszyscy – od pocziwiny chłopa ze Lwowa do cwanika taksówkarza z Kijowa.

W ciągu dnia nic się nie zmienia. Niepewność, napięcie i trwoga. Na Majdanie znów plotki o rzekomym szturmie. Które to już z kolei? Cały dzień bez celu płączemy się po placu jak większość tutejszych i Catherine Margaret Ashton, baronessa Ashton of Upholland, wysoki przedstawiciel Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa.

Idziemy spać. Jutro przyjdzie się nam pożegnać z Majdanem. Ten tydzień pokazał nam sporo. Trzeba wszystko przetrwać, przyłożyć do tego odpowiednie narzędzia, spojrzeć z oddali.

– Dobranoc, Koniu, do jutra – rzucam Konradowi Fałęckiemu. Mój redakcyjny fotograf zrobił kawał dobrej roboty. Zamykamy się w pokojach. Padam na twarz.



Autor z fotografem Konradem Fałęckim. Kijów, centrum prasowe w budynku związków zawodowych, grudzień 2013. Fot. Paweł Bobołowicz/Radio Wnet